

Solidaruch i Sowiet

Maciej Rosalak

Jarosław Kaczyński powiedział dokładnie to, czego Moskal nie chciał usłyszeć. Z Łońki uszło całe powietrze...

Ani amnestia z września 1986 roku, kiedy Jaruzelski z Kiszczakiem istotnie zwolnili niemal wszystkich więźniów politycznych w PRL, ani tak zwane głośność i pierestrojka Gorbaczowa w ZSRS nie wywołały euforii wśród Polaków. Nie „zjednoczyły”, nie „scementowały”, nie „zmobilizowały wokół kierownictwa partii i wytyczonych przez nie zadań”. System się sypał – i każdy to widział. Sytuacja przypominała ostatnie lata monarchii habsburskiej, kiedy zwyczajnie przestano ją brać poważnie. Cisnęły się słowa wieszcza: „Ogarnęło Litwinów serca z wiosny słońcem / Jakies dziwne przecucie, jak przed świata końcem”.

Lwowianka zamiast „betonu”

Gdzieś tak w okresie strajków ‘88 i Magdalenki powstał ferment nawet w Stronnictwie Demokratycznym, gdzie znów – jak w latach 1980–1981 – zaczęto się domagać rzeczywistego, a nie fasadowego systemu wielopartyjnego (XVI Plenum Centralnego Komitetu SD). W „Tygodniku Demokratycznym” – czasopiśmie stronnictwa – nareszcie odwołano „betonowego” redaktora naczelnego, a jego miejsce zajęła Lidia Smyczyńska. Mądry i uczciwy człowiek, wspinała lwowianka o wielkim sercu spowodowała, że nagle

zaczęły się ukazywać wywiady z czołowymi działaczami nielegalnej jeszcze Solidarności, reportaże i artykuły dotyczące prawdziwych przyczyn niewydolności ustroju, wspomnienia łagienników, wypowiedzi godnych szacunku ludzi z rosyjskiego Memoriału. Pismo rozwinęło skrzydła, szło jak burza, skupiając też tych w SD, którzy chcieli demokratycznych zmian, oraz budząc oburzenie najbardziej zachowawczych prominentów. Zdjęcie Lecha Wałęsy na okładce „TD” pokazywano z pianą wściekłości na ustach. Tak to wtedy wyglądało.

Zdjęto embargo także z Rosalaka. Lidia uczyniła mnie swoim pierwszym zastępcą, zacząłem pisać stały felieton polityczny i znów – jak za pierwszej Solidarności – zabrałem się do otwartej działalności w Związku i w SD. Oczywiście, nie pytałem nikogo o zgodę. Wraz z Leszkiem Chmielewskim z „Kurieria Polskiego” odtworzyliśmy NSZZ „Solidarność” w Wydawnictwie „Epoka”. Od razu po Okrągłym Stole zarejestrowaliśmy organizację zakładową (robiło się to w kościele na warszawskiej Woli) i zwo-



► Jeden ze znaczków zaprojektowanych przez autora w 1987 roku dla nielegalnej Poczty Solidarności z okazji rocznicy wybuchu Powstania Listopadowego

łaliśmy zebranie. Stałem z Leszkiem po bokach stołu, zostawiając centralne miejsce dla przewodniczącej komisji zakładowej z lat 1980–1981, Janiny Paradowskiej (tak, tak, dziś w „Polityce”!). Władze Związku reprezentował Andrzej Celiński, który skromnie patrzył z ubo- cza, co się dzieje.

W pewnym momencie było na co patrzeć. Zaprosiliśmy bowiem wszystkich wyrzuconych w stanie wojennym i niemal wszyscy – poza jednym kolegą – przyszli. Kiedy wedle umowy z Maciejem Łukasiewiczem (wtedy szefem legalnej spółdzielni dziennikarskiej Omnipress i nielegalnego Wydawnictwa MOST, po latach redaktorem naczelnym „Rzeczpospolitej”) niespodziewanie weszli na salę, ludziom łzy cisnęły się do oczu, rzucano się sobie w objęcia, rozmowom nie było końca. Był m.in. powszechnie lubiany i szanowany sekretarz „Kurieria Polskiego” – Włodek Karwan (potem pracował w tygodniku samorządu terytorialnego „Wspólnota”; umarł w grudniu 1991 roku), dziennikarz spor-



towy „KP” o niebywałym stylu i autorytecie – Andrzej Roman (zachował w III RP niezależność), zastępca redaktora naczelnego „TD”, człowiek wielkiej wiedzy – Krzysztof Boruń (pisarz SF), dziennikarz działu zagranicznego „KP” i działacz Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność” – Marek Rapacki (długie lata korespondent „Gazety Wyborczej” w Paryżu), reporter „KP” – Włodek Słowiński (rychło prezes „Ruchu”) i dwudziestu kilku innych...

Ten wiosenny dzień przyniósł mi największe wzruszenie w owym pełnym emocji, niebywałym roku 1989. Spełnił skryte marzenie i wynagrodził poniżenia lat osiemdziesiątych.

Przypominał nieco filmowy *happy end*. Ale życie nie jest filmem, a historia – wbrew ówczesnemu słynnemu sformułowaniu Francisa Fukuyamy – nie skończyła się bynajmniej. Mimo ofert powrotu do pracy w pismach „Epoki”, prawie nikt nie wrócił, bo każdy urządził już sobie – bądź właśnie urządził – znacznie lepiej życie w tym czasie pełnym obietnic i nieznanych wcześniej możliwości. Poza tym pisma SD, mając na rynku coraz ciekawszą konkurencję, bite przez nią z początku znaczkami Solidarności, a rychło również popiwkiem Balcerowicza, czyli podatkiem obciążającym głównie przedsiębiorstwa z czasów PRL, przestały być atrakcyjnym miejscem pracy. W rezultacie tylko jeden kolega, ten właśnie, który zignorował zaproszenie na zebranie, podjął pracę w „Tygodniku...”, skorzystał z zaliczenia do stażu okresu bezrobocia spowodowanego przesładowaniem politycznym i w ten sposób dobił szczęśliwie do emerytury.

W sprawie weryfikacji dziennikarzy w stanie wojennym nie poprzestałem na tym. Kiedy później zostałem... kierownikiem wydziału prasy w stronnictwie, doprowadziłem do przyjęcia przez Prezydium CK SD oświadczenia, w którym ubolewano z powodu tego wydarzenia i przeproszono pokrzywdzonych. Potępienia przez cały Centralny Komitet nie udało mi się jednak osiągnąć. Odrzucono wniosek rzekomo ze względów proceduralnych (faktycznie nie było go

w porządku obrad), ale w rzeczywistości nie mogli go stawić ci, którzy w stanie wojennym rozpoczynali świetlaną karierę i wygodne życie.

Intruzi w spadku

Do upadku gazet SD i samego stronnictwa może jeszcze kiedyś wrócić, ale na razie mamy wiosnę 1989 roku, a za sobą XIV Kongres SD, na który znów zostałem delegatem, i na którym (tym razem – ho, ho! – w Sali Kongresowej) ponownie przemawiałem. Znów – jak słynny XII Kongres w marcu 1981 roku – zgromadzenie to przyniosło wiele słów i wyrzuciło do góry nogami skład władz naczelnych, ale nie zdołało ani zmienić stronnictwa w powszechnie szanowaną partię, ani powołać dużego formatu przywódcy, który byłby w stanie tego dokonać. Jedynym kandydatem, który się nie skompromitował w latach osiemdziesiątych i w ogóle rozumiał to wyzwanie, był zapewne prof. Jan Janowski z krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej. Był wśród piątki posłów SD sprzeciwiających się w 1982 roku likwidacji NSZZ „S” i dobrze odnalazł się przy Okrągłym Stole. Na kongresie zaś dostał najmniej głosów...

Na sekretarza CK SD powołano naukowca z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych – Jerzego Roberta Nowaka, sporo piszącego na łamach „TD” (po latach znanego głównie z Radia Maryja i Telewizji Trwam). Wcześniej przyszedł do mnie i zapytał, czy przyjąć wybór. Odpowiedziałem popularnymi wtedy słowami Gorbaczowa: jak nie my, to kto, jak nie dziś, to kiedy? Za parę dni przychodzi do mnie i powiada: jak nie my, to kto, jak nie dziś, to kiedy? Zostań kierownikiem wydziału prasy. Co było robić, zostałem.


Po moim poprzedniku odziedziczyłem różnych dziwnych panów przychodzących w gości. Jednych popędziłem od razu, innych nieco później. Do drugiej kategorii zaliczyłem I sekretarza, bądź co bądź, ambasady Związku Sowieckiego w Polsce. Nazywaliśmy go Łońka i lubiliśmy za wesoły sposób bycia, choć był zapewne dwudziestym z pierwszych

sekretarzy ambasady i – jak oni wszyscy – funkcjonariuszem KGB. Łońka wiedział, że zostałem kierownikiem na fali solidarnościowych przemian, więc chwalił owe przemiany bez miary, aż wreszcie zapytał, czy mogę mu umożliwić kontakt z kimś z najbliższego otoczenia przewodniczącego NSZZ „Solidarność” Lecha Wałęsy. Pośrednio, ale mogłem. Okazało się, że będzie go reprezentował... Jarosław Kaczyński (tak, tak, młody Czytelniku, tak wtedy było).

Spotkanie obu panów odbyło się u mnie w gabinecie i obaj nalegali, abym został jako świadek. Mogę już chyba dwa słowa powiedzieć o tej poruszającej dla mnie rozmowie. Otóż trzy kwadransy bez mała przedstawiciel Moskwy próbował omotać Polaka pochlebstwami wobec genialności „waszego przewodniczącego”, wysokimi ocenami polityki ruchu solidarnościowego, oszalałymi perspektywami współpracy Sowieców z solidarnościową Polską. Pies mówił, a wilk słuchał. Bez słowa, nieruchomo, nic nie dawał po sobie poznać. Aż wreszcie Łońka przeszedł do rzeczy, czyli do zorganizowania wizyty Wałęsy w ZSRS i spotkania (jakby przypadkowego) z sowieckim przywódcą Michaiłem Gorbaczowem.

I zapytał: „Co musimy zrobić, aby wasz przewodniczący przyjął zaproszenie?”. Kaczyński powiedział dokładnie to, czego rozmówca chciał uniknąć: „Wasz pierwszy musi go zaprosić”.

Z Łońki uszło całe powietrze. A ja poczułem nieklamana dumę i szacunek do mego rodaka, Polaka, który jak gdyby nigdy nic wziął górę w rozgrywce z Moskalem.

Łońka szybko się pożegnał, a ja mogłem jeszcze trochę pogawędzić z wyraźnie odprężonym Jarosławem Kaczyńskim. Podziwiałem jego spokój w trakcie negocjacji. Kiedy jednak wstał z fotela, zobaczyłem, że musiał się niebywale wiercić, a więc denerwować, bo z tyłu wysunął mu się duży płat koszuli. Śmieszne? Rozczulające? Dla mnie, po prostu, sympatyczne...

Maciej Rosalak – publicysta historyczny, w 1989 roku zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Demokratycznego” i kierownik wydziału prasy CK SD